Kraków, 1-go grudnia 1912 r.

Rok 8. Nr. 25.

Dzwonek.

Gazetka dla dzieci.

Dodatek do „Prawdy“ Nr. 49.

Ptaszek-Znajda.

Pewnego razu jeden leśniczy, polując na wilki w lesie, usłyszał płacz małego dziecięcia. Poszedł za głosem, i spostrzegł na wysokim drzewie małe, roczne dzieciątko, w jednej tylko koszulinie. Trzymało się obiema rączkami grubych konarów dębu i rzewnie płakało.

Pod drzewem leżała kobieta, matka dzieciny, nieżywa, a koło niej stał ptak wielki, drapieżny, który pewnie to dziecko porwał i umieścił na drzewie.

Leśniczy wszedł na drzewo, zdjął krzyczącego malca i powiedział sam do siebie:

— Wiesz co stary, zanieś to pisklę do domu, wychowaj je razem ze swoją Lenką a będzie w chatce weselej.

Jak powiedział, tak i zrobił, a ponieważ chłopczyka znalazł w lesie, a ptak posadził go na drzewie, nazwał go „Ptaszek-Znajda“

Dzieci pokochały się bardzo, były ciągle razem, a gdy chwilę jedno drugiego nie widziało, smutniały oboje.

Rosły jak na drożdżach, kochały się co raz więcej, i byłoby im jak w niebie, gdyby nie Jaga, stara kucharka leśniczego, istna czarownicza. Ta nie cierpiała Ptaszka-Znajdę. Zawsze dawała mu najgorsze cząstki jedzenia, nie chciała go myć, ani czesać.

Lenka więc sama opiekowała się chłopczykiem, i skoro stara wychodziła z domu, myła go, czesała i dzieliła się z nim własnem jedzeniem.

Razu jednego wieczorem kucharka wzięła dwa wiadra i poszła do źródła po wodę. Przyniosła raz i znowu poszła i tak wracała kilka razy.

— Stara Jago, po co ty tyle wody nosisz? — pytała Lenka kucharki.

— Jeżeli nie powtórzysz żadnemu człowiekowi, to ci powiem — odpowiedziała.

A skoro Lenka przyrzekła, że żadnemu człowiekowi nie powtórzy tego, co jej powie Jaga, rzekła:

— Jutro rano, skoro leśniczy pójdzie na polowanie, ja zagotuję tę wodę w dużym kotle, wrzucę w nią Ptaszka-Znajdę i ugotuję go.

Lenka strasznie się zmartwiła, myślała, myślała, jakby to uratować Znajdę, aż ją główka rozbolała od myślenia. Na drugi dzień raniutko, leśniczy wyszedł, a Lenka czymprędzej pobiegła do swego towarzysza i drżącym głosikiem szepcze mu do uszka:

— Jeżeli ty mnie nie opuścisz, to i ja ciebie nie opuszczę.

— Nigdy, nigdy, zawsze będę z tobą! przyrzekał Ptaszek-Znajda.

Otóż powiem ci, że Jaga wczoraj nanosiła dużo, dużo wody, a gdy ją zapytałam, na co jej ta woda, odpowiedziała, że wleje ją w duży kocioł i ciebie w niej ugotuje. Ale nie bój się, braciszku, nie dam cię tej czarownicy. Ubierajmy się prędko i uciekajmy!

Ptaszek-Znajda przeląkł się okropnie, zerwał się ze swego łóżeczka, ubrał się prędziutko i wyszedł razem z Lenką.

Kiedy woda w kotle zaczęła się gotować stara Jaga weszła cichutko do sypialnego pokoju, aby porwać Ptaszka-Znajdę, ale gdy nie zastała obojga dzieci, ogromnie się przestraszyła. Wołała, krzyczała, biegała wokoło domu, wkońcu zmęczona usiadła i tak do siebie mówiła:

— Co ja powiem leśniczemu, on mnie zabije, jeżeli Lenki nie znajdę, muszę, muszę ją odszukać.

I wysłała trzech parobków, przykazując im, ażeby nie ważyli się powracać bez dzieci.

Dzieci były już za lasem, właśnie zmęczone odpoczywały. Wtem patrzą, a tu leci trzech parobków.

— Nie opuścisz ty mnie, to i ja ciebie nie opuszczę, — powiedziała Lenka do Ptaszka-Znajdki.

— Nigdy, nigdy, — odpowiedział jej chłopczyk.

— Więc przemień się w krzak róży, a ja będę różyczką na nim!

Zaledwie Lenka wymówiła te słowa, dobiegli trzej parobcy, a zobaczywszy pod lasem krzak różany, zawołali:

— Coś nam się przywidziało, dzieci nie widać, nie mamy tu co robić, wracajmy!

Powrócili do domku, powiedzieli kucharce, że nic wokoło nie widzieli, tylko krzak róży z jedną różyczką.

— Ach, wy bałwany, głuptasy! trzeba było wyrwać krzak, różyczkę zerwać i przynieść do domu. Prędko, biegnijcie co żywo! — krzyczała stara.

Parobcy pobiegli, a dzieci znów spostrzegły zdaleka poszukujących ich wysłańców. Lenka-różyczka zaszumiała płatkami swemi, i rzekła:

— Ptaszku-Znajdku, nie opuścisz ty mnie, to nie opuszczę i ja ciebie!

— Nigdy, przenigdy! — odpowiedział chłopczyk.

— Więc stań się kościołem, a ja ołtarzem w nim będę.

— Przybiegli zdyszani parobcy, zdziwieni, nie widzą już krzewu różanego lecz wielki kościół; przecierają sobie oczy, obchodzą budynek dokoła i mówią:

— Nie mamy tu co robić, niema ani krzaka, ani róży wracajmy!

Skoro powrócili pyta ich stara Jaga, gdzie mają różyczkę, a gdy jej powiedzieli, że krzaku nie znaleźli, tylko kościół z ołtarzem, krzyknęła rozłoszczona:

— Błazny! trzeba było kościół rozwalić i ołtarz przynieść.

I zniecierpliwiona, porwała się sama i pobiegła pędem w las a parobcy za nią.

Lenka spostrzegłszy kucharkę z parobkami, zawołała:

— Ptaszku-Znajdku, nie opuścisz ty mnie, to nie opuszczę i ja ciebie.

Nigdy, przenigdy! — odpowiedział jej chłopczyk.

— Przemień się w staw, a ja w kaczkę na nim!

Zaledwie Ptaszek-Znajda przemienił się w staw, a Lenka w kaczątko, nadbiegła kucharka. Uklękła nad brzegiem

stawu, pochyliła się i chciała złapać kaczkę, lecz ta podpłynęła szybko, porwała Jagę dziobem za włosy i wciągnęła do wody.

Naturalnie stara czarownica opiła się wody i utonęła.

Dzieci uszczęśliwione powróciły do domu. I zawsze kochają się bardzo i jeżeli jeszcze dotąd nie umarli — żyją do dnia dzisiejszego.

NIEUK.

Nie chciał chodzić Stach do szkoły,
Bo niemiła mu nauka;
Nie dla niego te mozoły,
Więc rzemiosła sobie szuka.

Chciał z początku szewcem zostać,
Lecz stan szewca niezbyt łatwy;
Majster lubi i ochłostać,
Gdy mu chłopak psuje dratwy.

Stachby wziął się do krawiectwa,
Ale igła w palce kole;
Radby uczyć się kupiectwa,
Lecz trza ważyć wciąż przy stole.

Chciałby zostać Stach stolarzem,
Lecz od hebla ręce bolą;
Może byłby kominiarzem,
Ale sadze twarz tak smolą

Stachby zostać rad młynarzem,
Lecz wór z mąką suknie bieli;
Mógłby zostać i piekarzem,
Lecz trza w nocy wstać z pościeli.

Stach zostaćby chciał ślusarzem,
Lecz musiałby wciąż kuć młotem;
Chciałby także być kotlarzem,
Lecz on nie jest za łoskotem.

Mógłby Stach być i garbarzem,
Lecz woń ze skór tak obrzydła;
Chciałby nawet być mydlarzem,
Ale on ma wstręt do mydła.

Stach próżnując, wciąż się włóczył,
Ubiegał się za rzemiosłem,
Lecz żadnego się nie uczył,
I nazawsze został — osłem.

Dar królewski.

Działo się to dawno już temu, lat sześćset blizko. Warszawa nie była wówczas stolicą całej Polski, lecz tylko Mazowsza, a księciem mazowieckiem był wtedy Ziemowit I, miał za żonę księżnę Eufemię. Oboje księstwo szczerze pobożni, postanowili wznieść w Warszawie pierwszą murowaną świątynię.

Nie żałowali pieniędzy. Rosły szybko mury, błysnął krzyż na szczycie domu Bożego i wkrótce miał odgłos dzwonów przyzywać wiernych na modlitwę. Na srebrnej blasze kazał książe wymalować obraz Bogarodzicy z mieczem w sercu, ze łzami w oczach, a u Jej stóp umieścić siebie z małżonką i dziatwą, w klęczącej postawie. Obraz ten przeznaczono do wielkiego ołtarza w budującej się świątyni.

Gdy się tak krzątano w Warszawie, przybiegł goniec z Krakowa z wieścią, że król Kazimierz Wielki zjedzie do księcia Ziemowita na łowy.

Uradowany książe zaprosił panów, wydobył ze skrzyń co najdroższe sukna i futra, aby wysłać niemi ławy. Czyszczono też zbroje, niewiasty rozwieszały pęki ziół pachnących po komnatach, wykadzały je bursztynem, bieluchnem płótnem zaścielały stoły.

Wesoło było w dworcu księcia Ziemowita, skoro król Kazimierz przyjechał. Przy miodzie śpiewano pieśni, młodzież popisywała się zręcznością, w puszczy rozległo się szczekanie psów i dźwięki rogów myśliwskich.

Jednak nie ciągle się bawiono: czasami toczyły się rozmowy poważne. Król opowiadał Ziemowitowi o nowowzniesionych Sukiennicach na rynku krakowskim, o śpichrzach we Włocławku i Sandomierzu. Ziemowitowi przyjemnie było pokazać monarsze nowowzniesiony kościół świętego Marcina.

— I ja też przyłożę się do upiększenia Domu Bożego — rzekł król.

Dał więc, co miał pod ręką: to jest łeb jednego z upolowanych przez siebie jeleni. Kazano go zatem oprawić, jako świecznik, i zawieszono przed wielkim ołtarzem. Na rozgałęzionych rogach świecznika przez długie lata paliły się świece.

Mijały stulecia, skóra i kości na czaszce jelenia zmurszały, jedynie rogi pozostały w dobrym stanie.

Ojcowie Augustyanie, w których posiadaniu był kościół, chcieli ocalić miłą im pamiątkę, kazali zatem wyrobić łeb drewniany i obsadzić w nim owe rogi, które przetrwały do dzisiaj. W późniejszych czasach między rogami umieszczono postać Bożej Rodzicielki, a chwili obecnej świece zastąpiono elektrycznemi płomykami.

Kościół o którem mowa, wznosi się w Warszawie, przy ulicy Piwnej.

KŁAMCA.

„Wilk! wilk!" — zawołał pastuszek i poruszył całą ludność wiejską, pracującą w polu, oraz innych pasterzy. Ludzie mu uwierzyli i przybiegli na pomoc z widłami i kłonicami. Wtenczas pastuszek ich wyśmiał. Wilka wcale nie było; chłopiec chciał tylko zażartować sobie z ludzi. Za to nie ominęła go kara. Na drugi dzień wilk rzeczywiście przyszedł. Chłopiec wzywał pomocy. Ale nikt na to nie zważał, bo nikt mu już nie wierzył. Wilk wpadł pomiędzy owce i wielką zrządził szkodę.

Wielką ten ponosi karę, kto u ludzi straci wiarę.

Baśń o kocie w butach.



Skończył życie młynarz stary,
Synów po nim trzech zostało;
Młyn, kot bury, osieł szary
Były im spuścizną całą.

Młyn i osła zagrabili
Starsi bracia, źli i chciwi,
Najmłodszemu zostawili
Kota tylko — niech go żywi.

Cóż on pocznie z nim sierota?
Nędza mu się marzy blada...
Usiadł sobie koło płota,
Łzy ociera i powiada:

„Choćbym zjadł go na pieczyste,
Skórką podbił palto stare,
To to przecie oczywiste —
Umrę z głodu za dni parę.

Serce mi się z żalu kraje,
Doloż moja nieszczęśliwa!"
Wtem kot bury przed nim staje,
Ludzkim głosem się odzywa:

„O skrzywdzonych ma staranie
Dobry Bóg z jasnego nieba,
Tylko wierzyć trzeba, panie,
Tylko ufać mocno trzeba.

Czemu wzrok twój niepogodny,
Czemu siedzisz tu jak struty,
Jakem kot, nie będziesz głodny,
Daj mi tylko mocne buty.

Daj twą sakwę i wierz proszę,
Zda się na coś kot mizerny,
Będziesz chleb miał, nawet grosze!"
Dziw chłopaka zdjął niezmierny

Lecz kotowi buty daje
Sakwę mu przez plecy wiesza;
Kot w zielone rusza gaje,
Drzew dziwuje mu się rzesza.

Pomrukując idzie śmiało...
Tam na trawie przy paproci
Zając łapkę liże białą.
Wnet się spryt okazał koci.

Jak nieżywy legł na trawie,
Torbę otwarł wpierw szeroko,
Leży, nie oddycha prawie,
Czem zająca zwabił oko.

W torbie był kapusty listek,
Więc zajączek się zakrada,
Aż się w torbę schował wszystek
I kapustkę smaczno zjada.

Wtedy sakwę kot zatrzasnął,
Prędko zrywa się na nogi;
Uwięziony zając wrzasnął,
Zemdlał pono z wielkiej trwogi.

A kot w butach maszeruje
Do pałacu króla żywo.
Orszak dworzan poszeptuje:
„Kot obuty, a to dziwo!"

Więc wpuszczono go do króla,
On się w piękny ukłon zgina
I powiada: „Książę Lula
Służby swoje przypomina

I przysyła wam szaraka."
Tu zająca wydobywa.
Króla cieszy pamięć taka
I podarku myśl poczciwa.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

SŁOŃ.

Słoń żyje w krajach o wiele gorętszych od naszego, gdzie zimy nigdy nie bywa. Dlatego też słoń, przeniesiony do nas, musi być trzymany przez zimę w budynku tak ciepłym, jak nasze mieszkania.

Słoń jest największy ze wszystkich zwierząt czworonożnych. Ogromny ten zwierz ma długą trąbę, która jest zarazem jego nosem: może on ją wyciągać i zwijać oraz używać jej tak, jak my rąk. Gdy mu ktoś poda jabłko lub bułkę, bierze to trąbą i wkłada sobie do pyska, znajdującego się pod trąbą. Trąba jego jest tak czuła, jak nasze palce. Trąbą może utrzymać igłę, korek z butelki wyciągnąć lub ułamać gałąź z drzewa i opędzać się nią od much i komarów.

Na słoniach oswojonych ludzie jeżdżą, jak na koniach. W dużych ogrodach zoologicznych nawet dzieci mogą używać takiej przejażdżki. Zwykle siada ich nieraz czworo i więcej na dwóch odpowiednich ławeczkach, przymocowanych na grzbiecie zwierzęcia. Słoni można też nauczyć niektórych sztuk i robót, naprzykład przenoszenia kamieni i dużych belek z miejsca na miejsce, a nawet kołysania dzieci w kolebce.

Zdatny miewa powodzenie,
Nieuk wzgardę i zmartwienie.